Rok I. Nr. 2
1 Lutego 1913 r.

# HUMANISTA POLSKI

miesięcznik

Redaktor i Wydawca Aleksander Świętochowski



## ORGANIZACYE KLASOWE.

Jednym z najoczywistszych objawów ostatniej doby była tłumna ucieczka ludzi z szeregów stronniczych i ogromny wzrost masy bezpartyjnej. Niewątpliwie na fakt ten złożyły się rozmaite przyczyny: nieudolność lub awanturniczość kierownictwa, fantastyczność programów, znużenie się walką, wstręt do ogłupiającego sekciarstwa, ale najważniejszą było spotęgowanie się poczucia narodowego. Rozszerzenie granic swobody dla publicznego słowa i czynu pobudziło do wylewów patryotyzmu, działających na ogół podniecająco, i do wiary, często złudnej, w możliwość spotęgowania obronnej i twórczej siły społeczeństwa. Zaczęto szczerzej i głośniej skarżyć się i pocieszać, zaczęto odważniej działać. Podczas gdy długa niewola osłabiła w nas lub zniszczyła wszystkie siły i pierwiastki życia, jedno uczucie nie tylko oparło się jej wpływom, ale nawet ogromnie pod nimi wzrosło—umiłowanie polskości. Bez tej sprężyny niezrozumiałą pozostałaby nadzwyczajna popularność stronnictwa politycznego, które nie miało żadnego programu, które nie przebierało w środkach, które nie mogło poszczycić się żadnym realnym tryumfem. Chociażby głosiło największe paradoksy i popełniało najcięższe grzechy, wszystko mu przebaczano dla tego jednego uczucia, jednego słowa, jednego hasła: naród. Magiczna moc tego wyrazu trwa dotąd. Jest to jak gdyby instynktowa potrzeba organizmu zagrożonego w swem istnieniu, że on przedewszystkiem pragnie stwierdzić i zabezpieczyć swój byt, że wobec tego głównego wszystkie inne pragnienia muszą zejść na dalsze plany, muszą czekać.

Trzeba było tak tępych i zmechanizowanych umysłów, jakie służą u nas do fabrykacyi pewnych odcieni skrajnego radykalizmu, ażeby tego nie rozumieć i urągać „patryotnikom“, gatunkowi żywotnemu wszędzie a niby wymierającemu nad Wisłą, której fale środkowego biegu muszą spłukiwać najrozmaitsze głupstwa z naszej niwy społecznej. Ludzie, niemający ani ojczyzny, ani przedmiotów do kochania w przeszłości, ogłosili je za przeżytki i przesądy, których wyzwolony obywatel świata powinien się wstydzić. I tak tym wstydem steroryzowano lękliwych a łaknących orderka wyższej rangi kulturalnej, że istotnie wstydzili się tego jawnie, co skrycie kochali i czcili. Ale taki sztuczny nastrój nie mógł być stałym. Każde żywe ciało ulega naturalnym prawom, nie formułkom doktryny. Popychany agitacyami w przeciwne strony naród nasz odzyskał znowu swój własny punkt ciężkości i odnalazł siebie a jako zagrożona w swym bycie całość opiera się rozłamywaniu na części. Stąd szeroka niechęć do stronnictw i różnicowania się klasowego. Niezaprzeczenie słusznem jest to, co Marx powiedział o układzie warstw społeczeństwa nowoczesnego, ale w ograniczonym stopniu. My stanowimy również organizm klasowy, jednakże zarówno ze względów ekonomicznych, jak—i to głównie—politycznych nie przedstawiamy wyraźnych i ostrych rozgraniczeń w sferach interesów i dążeń, gdyż najsprzeczniejsze żywioły spaja łącznik wspólnej walki. U nas nad wszystkiemi uczuciami i zasadami panuje patryotyzm, chęć i konieczność zachowania bytu. O to dbać i trwożyć się nie potrzebują narody samoistne i niezależne, mogą zatem rozpadać i rozdzierać się na części składowe. Że tak jest, dowodem fakt, że wszystkie nasze partye nie mają podstawy klasowej, jedyna zaś — robotnicza — która oparła się na tym gruncie, leży dziś w gruzach, rozbita nie tylko prześladowaniem, ale rozstrojem wewnętrznym. U nas socyalistą „czystym“, to znaczy członkiem proletaryatu międzynarodowego może być tylko albo zrozpaczony nędzarz albo wynaturzony mędrek. Nieraz się zdarza, że nawet najbardziej skosmolipociali i zbuntowani przeciw swojemu społeczeństwu robotnicy wybuchają w odpowiedniej chwili płomiennym patryotyzmem, gdy nagle krzyknie w ich sercach zraniona miłość dzieci dla wspólnej matki. To też dopóki naród nasz będzie żył pod groźbą zagłady, nie uda się w nim żadne przedsięwzięcie, zamknięte w obrębie interesów jednego żywiołu społecznego, nie wytrzyma długiego trwania żadna odcięta od innych organizacya klasowa. W obecnych warunkach niemożliwe jest ani partya ściśle arystokratyczna, ani mieszczańska, ani chłopska, ani nawet robotnicza w większych rozmiarach i bez podstawy ogólno-narodowej. Ogromna większość społeczeństwa pragnie i broni przedewszystkiem polskości. To jest kardynalny punkt wiary, nadziei i miłości, a kto o tej potędze zapomina, będzie prędzej lub później przez nią usunięty lub pokonany.

---

### *POLITYKA.*

*W parlamencie niemieckim posłowie polscy wnieśli votum nieufności dla kanclerza z powodu dokonanych i zamierzonych wywłaszczeń z ziemi. Poparli ich socyaliści i katolicy (centrum), z których utworzyła się poważna większość. Ta nagana wszakże ma tylko ideologiczne znaczenie. Jak to wielokrotnie wyjaśnił Bismark, Niemcy są państwem konstytucyjnem, ale nie parlamentarnem, ministrowie zatem, skarceni przez Izbę, nie potrzebują podawać się do dymisyi, bo oni nie są jej wybrańcami, lecz „sługami swego pana“. Kanclerz przeto nie czuje się wcale zachwianym na swem stanowisku i może spać spokojnie.*

*Prezydentem Francyi wybrany został dotychczasowy prezes ministrów Poincaré. Ma to oznaczać chęć zamknięcia szeregu manekinów bez woli i władzy a postawienia na czele państwa osobistości z inicyatywą i energią. Wątpimy jednak, ażeby taka osobistość długo mogła się utrzymać wobec zazdrosnego o swe przywileje parlamentu.*

*Londyńskie narady ambasadorów i pełnomocników turecko-bałkańskich w przedmiocie toczącej się obecnie wojny zostały zerwane. Turcya nie chce zrobić ustępstw terytoryalnych a nadewszystko oddać bułgarom Adryanopola. Bój zatem rozpocznie się na nowo.*

*Samorząd miast w Królestwie Polskiem, który wydobywa się z Rady Państwa, jak kula z gwintowanej lufy, podległ w dalszym ciągu okrojeniu. Nie zdziwiłoby to nikogo, gdyby on w końcu zachował tylko nazwę i był instrukcyą policyjną.*

# Po drodze.

Nowa odmiana mitu o Perseuszu. Graje, czyli trójciało z jednym zębem i jednem okiem. Kadzidła żydowskie Odczyty o Bergsonie. Zasiłek dla dyletantyzmu. Najgorszy chwast.

Do licznych odmian mitu o Perseuszu dołączymy, zdaje się, nową, która brzmieć będzie tak:

Wysłany przez swego ojca, Zeusa, z poleceniem zabicia Meduzy, która swym strasznym wzrokiem skamieniała wszystko i groziła jego matce Danai zatamowaniem życia, poznał jej siostry Graje, które w trójłbie miały jedno oko i jeden ząb. Gdy złożywszy u stóp matki głowę Gorgony, opowiedział jej o swem odkryciu, ta rzekła: Graje są Meduzą.

Jeżeli przyszli badacze będą znali czas powstania tego mitu, to bez trudu domyślą się, że dawni właściciele a późniejsi spólnicy polsko-żydowskiego kraju nad Wisłą usymbolizowali w Danai swoją ojczyznę, w Perseuszu — każdego jej syna w Meduzie — moc wrogą, a w Grajach—potwora, będącego zrostem nad-żyda, nad-socyaldemokraty i nad-radykała polskiego, posiadającego w trzech obliczach jedno wspólne oko i jeden ząb. Z tym potworem walczy obecnie Perseusz. Dlaczego?

Nad-żyd jest to szczególny gatunek człowieczy, który tęskniąc do swej ziemi, nie chce się do niej wynieść, a złorzecząc naszej, chce w niej pozostać; który, sponiewierany i wygnany przez potężnego pana, jest jego kornym niewolnikiem i wielbicielem; który zawsze bywa uniżonym wobec silnych a zuchwałym wobec słabych; który gdziekolwiek stąpi dziś, żąda jutro pełnoprawnego obywatelstwa; który nieograniczoną tolerancyę dla swoich nadużyć, przewinień i bezczelności ogłasza za probierz demokracyi i humanizmu; który według tego kodeksu wyprocesowywa dla siebie wszystkie przywileje i uwalnia się od wszystkich obowiązków względem miejscowego społeczeństwa; który je wyzyskuje, niszczy, znieważa i zniesławia a wzamian wymaga odeń dobroci, życzliwości i pobłażania. Nad-socyaldemokrata jest to znowu taki rodzaj, który godzi się z całą ludzkością, wyjąwszy swoją rodzinę społeczną, który polskość pod wszelką postacią lży i spotwarza, który dla pohańbienia jej nie cofnie się przed żadnem kłamstwem i oszczerstwem, który nie tyle służy proletaryatowi, ile wymyśla całemu narodowi polskiemu, wymyśla bez odpoczynku, bez wyboru przedmiotów i słów, bez wstydu i skrupułu, a wzamian za to żąda odeń uznania i przyjaźni. Nad-radykał polski jest to osobliwy twór, który uwija się z rozpostartemi skrzydłami, ażeby pod nie zagarnąć wszystkich, urągających i szkodzących jego narodowi, który zanarchizuje każdą organizacyę, podkopie każde przedsięwzięcie, mające na celu dobro ogółu, który, jak wicher jesienny w piecu, wyje bezmyślnie w każdej instytucyi, bredzi, oskarża i pieni się w napadach furyi, a wzamian za to domaga się wszystkiego, czego pomysłowy waryat łaknąć może. Te trzy głowy, wydające czasem syrenie głosy,

patrzą obecnie jednem okiem i kąsają jednym zębem — żydowskim.

Gdyby można było mierzyć jakimś przyrządem natężenie fal naszej opinii w tym kierunku, zauważylibyśmy, że ciśnienie antisemityzmu wzrasta niemal codziennie o parę stopni. Jednostki i grupy, przez które prąd ten nigdy nie przechodził, są nim dziś nawskroś przeniknięte — dzięki owym jednoocznym i jednozębnym Grajom. Te siostry Meduzy doprowadzają do wybuchowego wrzenia zgrozą wywołany nastrój wszystkich warstw polskiego społeczeństwa; one jątrzą ciągle zabliźniające się rany; one przecinają węzły między żywiołami różnego pochodzenia, ale tej samej kultury; one zaprzepaszczają dorobek asymilacyjny, odsuwając dwa zbliżone ku sobie światy na całą odległość wzajemnej niechęci lub nienawiści; one powstrzymują pożyteczne dla narodu spółdziałanie odmiennych rodowodem a sharmonizowanych z sobą czynników; one sprowadzają klęskę i hańbę, zamęt i rozdział, których nie usunie łagodzący wpływ dziesiątków lat. Kwestyę żydowską rozjątrzyła u nas naprzód ogromna masa obcego napływu, następnie prowokacyjne zachowanie się nacyonalistów izraelskich, następnie napastnicze wystąpienia ich radykalnych sprzymierzeńców wreszcie niezręczność bezmyślnych obrońców i brutalstwo najętych parobków żydowskich.

Cały ten ruch wyrządził nam liczne szkody, ale przyniósł również korzyści. Do tych ostatnich zaliczyć należy zupełne wyjarzmienie się polskiego postępu z pod zależności żydowskiej. Niewątpliwie zawdzięcza on im wiele poważnych usług i byłoby nawet pożądane, ażeby w przyszłości wchłaniał w siebie z tej strony wszystkie ożywcze pierwiastki, ale okres miłostek Don Żuana żydowskiego z Zerliną liberalną skończył się u nas bezpowrotnie. Odtąd musimy uwierzyć i nieprzerwanie powtarzać, że postęp polski jest żywiołem swojskim, historycznie wytworzonym przez rozwój naszych dziejów i chociaż on chętnie przyjmuje domieszki obce, ale unarodowione, nie jest wcale zależnym ani w swej istocie, ani w trwaniu od stosunku do żydów nieunarodowionych. O ile oni szkodzą interesom i kulturze naszego społeczeństwa, musi on uważać ich za wrogów i występować przeciw nim z tą samą energią, co wszystkie stronnictwa polskie. Niech a łwokaci tego nienaturalnego związku szkalują nas, jak to czynią, we wszystkich płachtach i ścierkach dziennikarskich w Rosyi i zagranicą, to nikogo nie przestraszy i nie zbłąka. Tytan dojrzał, robaków się nie lęka, drogę swoją zna i cel swój jasno widzi. Tym celem jest Polska, ta, która żyje od wieków i żyć będzie wieki.

Prawdziwą powódź odczytów, w których z katedr publicznie leją się ciągle potoki pustych słów, nieudolnych improwizacyj i szkolnych ćwiczeń, urozmaicono przy końcu zeszłego roku wykładami dwóch profesorów lwowskich o Jamesie i Bergsonie. Tłum, który zatłoczył sale, pospieszył głównie dla pogapienia się na prelegentów przyjezdnych i sfornirowania swych duszyczek powierzchowną znajomością filozofa, który jest dziś nie tylko najsławniejszym, ale i najmodniejszym. Podobno Bergson miał się wyrazić: „ze wszystkich zagadnień najtrudniejszem dla mnie do rozwiązania było pytanie, co wydobywają z mojej teoryi ptasie mózgi eleganckich pań, uczęszczających na moje wykłady“. Rzeczywiście zjawisko dziwne. Nie było myśliciela trudniejszego do zrozumienia i nie było cieszącego się większem uznaniem pustego a strojnego świata. W Paryżu cisną się na jego lekcye słuchaczki karetowe, uklejnotowane drogimi kamieniami i herbami. I u nas mówiono o nim przed publicznością premierową. Rezultat? Przewidziany: ogromna większość słuchających „bajki o żelaznym wilku“ wyniosła tyle wiedzy o Bergsonie, ile jej przyniosła. Zero było i zero pozostało. A dlaczego to drugie zero jest gorsze od pierwszego? Tamto nie miało żadnej pretensyi, to ma wielką. Przez takie odczyty śród takiego audytorium mnoży się u nas tylko ród bardzo liczny i szkodliwy — ród blagerów i dyletantów, twórców i roznosicieli nadętego a pustego frazesu. Słyszałem ten brzęk słów o Bergsonie. Ani w nim śladu zrozumienia rzeczy. Plecie się o intuicyi, która ma być podwaliną jego systematu, bo to najłatwiej pojąć, bo w tem czółenku można pływać po głębiach filozofii, nie wiedząc nic, co jej toń w sobie mieści. W salonach, antraktach sztuk teatralnych, w nawiasach artykułów dziennikarskich mówi się o Bergsonie tak, jak o kompozytorze *Wesołej wdówki*. I nawet na myśl nie przychodzi zajmującym *causeur'om* i bawionym przez nich damom, że gdyby oni wszyscy wytężyli swoje siły umysłowe, nie udźwignęliby ciężaru jednej stronicy *Materyi i pamięci* lub *Ewo-*

lucyi twórczej. Kochani czytelnicy ze wszystkich chwastów naszego życia najstaranniej trzeba tępić jałowy frazes: dla tego celu warto nawet założyć ogromne stowarzyszenie lub akademię.

*H. D.*

---

# Wynagrodzenie służby folwarcznej.

Gubernia lubelska pod wielu względami daje przykład krajowi. Oto znowu teraz na zebraniu grudniowem w lubelskiem Tow. rolniczem zapadła jednogłośnie uchwała, określająca normy minimalne wynagrodzenia służby folwarcznej i obowiązująca od 1-go stycznia 1913 r. Już w 1906 r. ziemianie lubelscy powzięli pierwsze w tym względzie postanowienie zbiorowe, którego obecne jest tylko dalszem rozwinięciem. W innych Towarzystwach dotychczas ciągną się tylko narady, które nie doprowadziły jeszcze do żadnego rezultatu.

Na podstawie wzajemnego porozumienia, zależnie od warunków miejscowych, roczne wynagrodzenie czeladnika, obliczając otrzymywane w naturze według cen handlowych, powinno wynosić ogółem nie mniej niż 200 rb. Pensya fornala lub parobka 29 rb., minimum ordynaryi 14 korcy twardego zboża, mlewo darmo. Za każdą tak zwaną „posyłkę“ 3 korce zboża. Minimum opału $2^1/_4$ sążnia drzewa szczapowego lub jego równoważnik w torfie i węglu. Dla każdej rodziny osobne mieszkanie, składające się przynajmniej z jednej izby i komory. Służący z jedną czeladzią (posyłką) otrzymuje najmniej 150 prętów ziemi pod ziemniaki, a za każdą następną po 50 w dodatku. Wybór miejsca w polu, przeznaczonem dla czeladzi, zostawiony jest do woli. W razie nieurodzaju lub jakiej klęski dwór zapewnia rodzinie parobczańskiej 30 korcy kartofli. Prócz tego około 15 prętów kw. pod wczesne ziemniaki i kapustę. Dla jednej przynajmniej krowy dobre i racyonalne utrzymanie z dodatkiem mleka w czasie oznaczonym przez służącego — 40 garncy tłustego lub odpowiedni równoważnik odtłuszczonego. Dla trzody chlewnej w czasie zimowym przynajmniej po 50 funtów dobrych plew miesięcznie na jedną rodzinę! Płaca dzienna czeladzi, utrzymywanej przez parobka, powinna być tak unormowana, żeby wynosiła nie mniej niż 70 rb. rocznie dla dziewczyny a 85 dla chłopaka.

Pomoc lekarska i środki lecznicze — bezpłatnie.

Do czasu rozstrzygnięcia na drodze prawodawczej sprawy ubezpieczenia służby na starość lub w razie niezdolności do pracy, albo też dopóki nie powstanie Towarzystwo, które podejmie uregulowanie jej w naszym kraju, zaleca się jak najgoręciej zapisywanie całymi powiatami tak służby, jak urzędników folwarcznych na członków warsz. Kasy emerytalnej.

Nie mniej silny nacisk położono na niezbędność w każdym folwarku ochrony dla dzieci służby, jako najpewniejszego środka podniesienia zarówno moralnego, jak kulturalnego poziomu przyszłych pracowników.

Bydło służby folwarcznej ma być ubezpieczone od ognia na koszt chlebodawcy.

Pozostaje niezmienionym jeden punkt, przeciw któremu tylokrotnie podnosiły się głosy w prasie: termin zmiany służby i przeprowadzka na 1-go stycznia. Wprawdzie zrobione jest zastrzeżenie, żeby mieszkania były w tym czasie opalane, nie zmienia to jednak i nie łagodzi złej tradycyi, która ze względu na dzieci, zmuszone podróżować w ciężkie mrozy, — staje się wprost okrucieństwem.

Warunki, powyżej przedstawione, w wielu okolicach uległy już zmianie. Praktyka życiowa znacznie podniosła ich normę; jest to więc tylko minimum tego, co ci najbiedniejsi i najbardziej z pośród wszystkich upośledzeni obywatele kraju otrzymać mogą.

Droga rozwoju szeroko otwarta stoi.

---

# O polskość uniwersytetu lwowskiego.

Stolica Galicyi w ostatnich czasach stała się widownią manifestacyjnego wypowiadania się opinii społeczeństwa polskiego za zabezpieczeniem uniwersytetu i złączonych z nim dorobków kulturalnych od zagarnięcia przez rusinów. Od dwunastu lat domagają się oni oddzielnej wszechnicy dla siebie, a właściwie zutrakwizowania istniejącej już we Lwowie, do czego polacy dopuścić nie chcą, w oba

wie starć i nieustających zatargów między młodzieżą obu narodowości, a także zrutenizowania miasta, dotychczas wyłącznie polskiego.

Aby rokowaniom, prowadzonym przez rząd w Wiedniu pomiędzy obu Kołami: polskiem i rusińskiem, dostarczyć świadectwa, jaką jest wola narodu i tem samem wywrzeć na nich nacisk, odbył się szereg zebrań ciał profesorskich tak we Lwowie, jak w Krakowie, na których, przyznając rusinom zupełne prawo do uniwersytetu własnego, domagano się najkategoryczniej zachowania lwowskiemu charakteru polskiego. W tej akcyi społeczeństwo wzięło szeroki udział, urządzając olbrzymi wiec we Lwowie, na którym przedstawiciele wszystkich warstw zaznaczyli także tę konieczność. Ostatecznie orędzie cesarskie, przyrzekając rusinom utworzenie uniwersytetu do roku 1916, dało ludności polskiej zapewnienie uszanowania jej praw i życzeń, z czego niezadowoleni rusini zerwali ponownie rokowania. Niewątpliwie do porozumienia dojdzie w końcu i słuszne żądania tak jednej, jak drugiej strony w zupełności uwzględnione zostaną.

---

## Zamach na Towarzystwo Kultury Polskiej.

Ostatnie doroczne zebranie delegatów tej instytucyi było może najwymowniejszym dowodem, do czego dąży i przed czem się nie cofa wyzywający i bojowy ruch żydowski, połączony z wrogim polskości radykalizmem.

Towarzystwo K. P., w odróżnieniu od innych stowarzyszeń, powstało na mocy ustawy opracowanej i zalegalizowanej przez jednego człowieka, jego dotychczasowego prezesa; jeżeli więc mogą nasuwać się jakieś wątpliwości w pojmowaniu celów tej instytucyi, to chyba jej twórca jest najwiarogodniejszym jej komentatorem. Otóż Świętochowski oświadczył, że T. K. P. założone zostało—jak to zresztą wskazuje art. 1 statutu — wyłącznie dla pracy nad kulturą narodu polskiego, a więc dla członków polaków, co obszernie zostało wyjaśnione na zebraniu organizacyjnem przy interpelacyi w sprawie kultury litewskiej, że przeto inne tłómaczenie ustawy jest wykrętnem jej naciąganiem na obce kopyto. Jakoż przez pierwsze cztery lata nikomu nawet nie przyszło do głowy kwestyonować dosłownego jej brzmienia i wynaturzać jej istoty, chociaż znalazły się obok siebie zjednoczone żywioły odmienne. Na nieszczęście Zarząd popełnił omyłkę, która, zwłaszcza wobec przeoczonej niedokładności w tekście ustawy, miała skutki fatalne. Mianowicie w jednym z paragrafów, który miał brzmieć: „zgromadzenie ogólne składa się z członków Towarzystwa i delegatów oddziałów“, opuszczono wyrazy podkreślone, skutkiem czego wytworzyła się niedorzeczność, pozbawiająca zupełnie członków Towarzystwa prawa głosu bezpośredniego i pośredniego, a oddająca je wyłącznie oddziałom. Dopóki w stowarzyszeniu panowała dobra wola, zapełniało ono nią ową szczerbę i zapobiegało złym następstwom. Niestety, zarząd, zbyt zaufawszy tej dobrej woli, zgodził się na otworzenie w Warszawie kilku oddziałów bez żadnej racyi i potrzeby, Rezultat był taki, że: 1) powstały osobne ugrupowania z całym aparatem niezależnych zarządów dla przedsięwzięć bardzo drobnych (np. małej szkółki lub sali zajęć), 2) te ugrupowania zaczęły się organizować klasowo i występować wrogo przeciw innym, wprowadzając zamęt, rozstrój i gorszącą rozterkę, 3) właściwe Towarzystwo (t. zw. centrala) traciła coraz więcej członków a z nimi dochody, zmuszona jednocześnie dźwigać wszystkie ciężary materyalne ogólnej potrzeby. Wytworzyła się sytuacya bezprzykładna: członkowie samej macierzy T. K. P. mieli tylko prawo dostarczania kilku tysięcy rubli rocznie na lokal i administracyę, znoszenia wymysłów i nagan ze strony delegatów oddziałów i przypatrywać się zawichrzaniu instytucyi i wpychaniu jej na odmienne, przeciwne pierwotnemu kierunkowi tory. Tego zamachu po dwuletnich podkopach i napaściach dokonano wreszcie teraz pod dowództwem oddziału V-o. Co to za oddział?

Przed paru laty zwrócili się do zarządu przedstawiciele licznej grupy osób, która przedtem była czynna w innem stowarzyszeniu, z żądaniem utworzenia dla niej osobnego oddziału. Nie potrzeba wcale złych zamiarów, ażeby takie wcielanie jednej organizacyi w drugą, w składzie i dążeniach całkiem odmienną, było niebezpiecznem. Nawet przy najlepszych chęciach z obu stron nieuniknione jest ciągłe tar-

cie różnic i przeciwieństw a następnie walka. Nowy oddział (V) odrazu zamanifestował swoje odszczepieństwo od instytucyi, pod której skrzydła się schronił. Długo nie chciał się uznawać za jej część składową, w ogłoszeniach publicznych, na blankietach i t. d. mianował się stale „kursami przyrodniczo-matematycznymi“. Nie pomogły napomnienia zarządu i dopiero nacisk zewnętrzny złamał opór. Przebaczono mu tę wyraźną nieprzyjaźń i śmieszną maskaradę przez wzgląd na to, że prowadził pożyteczną działalność odczytową i dotrzymywał lojalnie swych przyrzeczeń stosowania się do ustawy T. K. P. i unikania niezgodnych z nią dążeń. Ale ta wstrzemięźliwość nie wytrzymała długiej próby: oddział zaczął wnosić na zebrania ogólne nienawiść i wrzenie, podniecając jednocześnie inne. Pod jego wpływem i pobudką zaczęły burzyć się inne oddziały pokrewnego składu, wydawać i ogłaszać uchwały partyjne i napastnicze a jednocześnie pojawiły się w pismach peryodycznych pewnej barwy kłamstwa i oskarżenia z przyprawą paszkwilu. Dzięki tym nurtowaniom T. K. P. z instytucyi nawskroś polskiej, rzeczywiście bezpartyjnej i oświatowej, stało się areną gorszących kłótni polityczno-społecznych a nawet osobistych. Gdy wreszcie zaogniła się w kraju sprawa żydowska, oddział V, który przeważnie składa się z żydów i ich bezwzględnych obrońców, uznał, że już dojrzał ptak wylęgły z kukułczego jaja, złożonego w „burżujsko-nacyonalistycznem“ gnieździe i postanowił liczebną przewagą swej falangi zniszczyć wyłącznie polski charakter Towarzystwa. Ze strony zarządu i członków poddane zostały głosowaniu następujące wnioski (z wyjątkiem jednego): 1) członkami Towarzystwa K. P. mogą być tylko polacy bez różnicy wyznania i pochodzenie; 2) zarząd może zawieszać oddziały wykraczające przeciwko ustawie; 3) pojedyńcze organy (oddziały, komisye i t. d.) nie mają prawa ogłaszać własnych uchwał w sprawach ogólnych; 4) Towarzystwo winno przyczyniać się do spolszczenia miast. Wszystkie te wnioski zostały odrzucone a pierwszy nawet niedopuszczony do obrad. W tych uchwałach odbiła się wyraźnie dążność do zanarchizowania i odpolszczenia instytucyi. Zarządowi, który sam, bez żadnej kontroli, otwiera oddziały nie wolno ich nawet zawieszać, chociażby w nich dostrzegł wrogów narodu lub przestępców, najniebezpieczniejsze lub najohydniejsze czyny; powinien on tylko zwołać ogólne zgromadzenie delegatów z całego kraju dla osądzenia każdego wypadku, który zwykle musi być natychmiast rozstrzygnięty i nie nadaje się do publicznych roztrząsań! Jeśli to nie wichrzenie—to śmieszny nonsens. Zdawałoby się, że stowarzyszenie polskie, które nie stawia członkom żadnych ograniczeń, tylko żąda, ażeby o n i s a m i uważali się za polaków i z tym tytułem przyjmuje wszystkich b e z r ó ż n i c y w y z n a n i a i p o c h o d z e n i a, czyni zadość warunkom demokracyi i bezstronności. Dla obywateli świata z oddziału V-o było tego za mało a chęć stwierdzenia polskości Towarzystwa tak zdrożną, że pomimo swego radykalizmu, krzyczącego ciągle przeciwko „kagańcom“, zamknęli usta obrońcom wniosku. Zapamiętajmy: członkowie V oddziału T. K. Polskiej nie pozwalają nawet obradować nad jego polskością w Polsce, bo oni chcą mieć przybytek dla rozmaitych wynaturzeńców i nacyonalistów żydowskich. Niewiarogodne a prawdziwe! To też w naturalnym odruchu zgrozy zgwałcona mniejszość wyszła z sali.

Ten niegodny zamach napiętnowała cała prasa polska z wyjątkiem żydowsko-polskiej, ta bowiem stale i w każdym wypadku staje po stronie tych, którzy w jakikolwiek sposób, z jakichkolwiek pobudek bronią jakichkolwiek żydów, chociażby oni—jak ów redaktor petersburski — proponowali dla nas... Murawiewa. Nadzwyczajne zebranie ogólne ma wkrótce albo uzdrowić instytucyę, albo ją wynaturzyć i zanarchizować. Jeśli nastąpi ta druga ostateczność, Towarzystwo Kultury Polskiej istnieć przestanie a na jego gruzach wzniesiony będzie kosmopolityczno-żydowski zajazd z pokojami umeblowanymi „nawet dla wrogów“ — jak żąda pewien Marxo-Jowialski. Czy ten zajazd długo się utrzyma pod naporem odrazy społecznej? Zobaczymy. Tymczasem zaznaczamy jeszcze raz znamienny dla naszego życia fakt: są słowa i czyny, są zuchwalstwa i bluźnierstwa, na które nie odważonoby się nigdzie a na które odważyć się można bezpiecznie w Polsce, bo ona jest bezsilna i sponiewierana, bo ona żadnej swojej krzywdy i zniewagi nie pomści.

*N.*

# Stan umysłowy i moralny młodzieży wiejskiej.

Jest to dziś jeszcze sprawa zagadkowa. Na ogół biorąc, wielkich rzeczy w tym kierunku, zdawałoby się, oczekiwać nie należy. Ludność wsi naszej nie wyszła jeszcze z barbarzyństwa; oświata musnęła ją zaledwie z lekka, kultura obyczajowa pozostaje wciąż jeszcze na nizkim stopniu pierwocin istnienia. Widzimy wprawdzie pewne stałe dążenie do zerwania surowej skorupy, przytłaczającej duszę ludu. Z jego własnego łona dobywa się wciąż siła, prorokująca zmartwychwstanie, lecz nie jest to początek dnia, a tylko blade, szare świty, skazane na długie może jeszcze zmaganie się z ciemnością. Nie łudźmy się, nie dajmy się upajać dumnym okrzykiem: „Młodzi idą". Ta garsteczka, która wyrwała się naprzód, jest dopiero pierwszą jaskółką, która wiosny jeszcze nie czyni. Po za nią, dokoła niej—obszary, spowite w martwocie. W nich życie wywołać, z czadu wieków na świeży, zdrowy oddech wolnego ducha wywieść będzie zadaniem, wymagającem pracy wielu — ciężkiej, wytrwałej, niezłomnej, mądrej, samooczyszczającej pracy, w skromności ducha poczętej i w głębokiej wierze utwierdzonej. Do takich rozmyślań pobudzają tablice dwutygodnika D r u ż y n y, ułożone z 14 odpowiedzi, odebranych na rozesłany kwestyonaryusz. Z 14 tylko wsi odezwano się na rzucone pytania. D r u ż y n a jest pismem dla młodzieży i do niej się zwracała; lecz młodzież ta głucha jest jeszcze na dźwięki potrzeb i zaciekawień umysłowych. Sama sobie to świadectwo wystawiła. Zaledwie czterech odpowiedziało na wszystkie pytania; reszta — jak się zdarzyło; są i tacy, którzy z 26 rubryk wypełnili tylko 3. W tych warunkach oczywiście uogólnień czynić niepodobna. Natomiast niektóre szczegóły przedstawiają się dość ciekawie i rzucają szersze światło na pewne strony życia po wsiach. Kąpią się np. prawie wszyscy tylko w lecie, tam, gdzie jest blizko rzeka lub jakakolwiek większa woda; łaźni i ciepłej kąpieli nie znają wcale z wyjątkiem jednej miejscowości, gdzie robią sobie kąpiel w beczkach. Czytać umieją prawie wszyscy, ale głównie na „swojej" książce do nabożeństwa. Z pisaniem sprawa jeszcze trudniejsza; sztukę tę rzadziej posiadają dziewczęta, niż chłopcy, choć w jednej wsi czytać umieją wszystkie kobiety a z młodzieży męskiej tylko 24, zaś w pięciu innych pisze, no i czyta „po trochu" prawie cała młodzież. Najchętniej biorą do ręki powieści, opowiadania historyczne, a dziełka treści naukowej nie budzą wogóle ciekawości. Mózgi ciężkie, do myślenia nieprzyuczone, same do tej pracy nałamać się nie są zdolne. Wolny czas wszędzie spędza młodzież wiejska na zabawie, głównie na tańcach, lub „próżnych gawędach — zimą w mieszkaniu, w lecie pod płotem"; to znów na odwiedzaniu się i grze w karty. Dziewczęta czasem drą pierze lub len przędą, ale młodzież męska stale próżnuje, psocąc się i baraszkując. Piją chłopcy prawie wszyscy, nawet upijają się niekiedy przy sposobności t. j. na muzykach i weselach, dziewczyny znacznie mniej, a nawet nierzadko nie piją wcale; palą zaś wszyscy, wyjątki są bardzo nieliczne. W stosunkach między sobą trzymają się na ogół zgodnie, zdarza się jednak, że dobrze żyjąc z młodzieżą wsi sąsiednich, kłócą się i swarzą u siebie, do bójek jednakże nie dochodzi, wyjąwszy jedną miejscowość.

Dziećmi na wsi nikt się wogóle nie zajmuje; w niektórych miejscowościach chodzą one zimą do szkoły, a latem pasą bydło i pomagają w domu. Z paru zaledwie wyruszyło kilkoro na dalszą naukę do szkół rolniczych i gospodarczych, na kursa miesięczne.

W instytucyach społecznych mało młodzież bierze udziału; w rubryce tej znajdujemy tylko pięć odpowiedzi, dostarczających wskazówek o początkach jakiegoś ruchu społecznego; w innych miejscowościach albo instytucyi żadnych niema lub pytanie zbyto milczeniem.

Zapewne, z 14 wsi zebrany materyał nie może świadczyć o całym kraju. Jest w nim niewątpliwie wiele punktów jaśniejszych, niż poddane naszej uwadze. Lecz te są właśnie wyjątkami, temi dobremi zapowiedziami przyszłości, owemi jaskółkami, które wiosnę zwiastując, o niej jeszcze nie stanowią. Ogół naszej ziemi odbił się jak w zwierciadle w tych 14 wioskach, których życie rozsnuto przed oczami naszej wyobraźni. Puste rozmowy, często zdrożne zabawy, plotki, swary, do bójek nierzadko dochodzące, brak zupełny rozrywek szlachetnych, pobudzeń umysłowych, ciekawości, wybiegającej po za koniec własnego nosa — oto szczegóły wypełniające od brzega do

brzega dni chłopa polskiego w każdym wieku. Szare, czcze, smutne, jałowe życie. Nie wzejdzie światło nad tą ziemią, dopóki ono innem się nie stanie.

*C.*

---

# Towarzystwo opieki nad dziećmi.

Od lat sześciu posiadamy w kraju instytucyę niezmiernej doniosłości, która, z powodu niedostatecznego uświadomienia sobie przez ogół jej znaczenia i zbyt słabego zainteresowania się nią warstw zamożniejszych, borykać się musi nieustannie z brakiem środków, hamującym rozwój jej działalności. Instytucyą tą jest Towarzystwo Opieki nad dziećmi.

Powstało ono w r. 1906 jako skromny zrazu Wydział Zimowisk wiejskich przy Komitecie Pomocy dla pozbawionych możności zarobkowania. W owym czasie serca biły mocniej i czuły goręcej. Na odezwę, wydaną do wsi, ażeby dała pomoc dzieciom rodziców, skazanych z powodu braku pracy na głód i nędzę — posypały się setki ofert; i nietylko od dworów. W niejednej zagrodzie chłopskiej otwarły się też gościnnie wrota dla maleńkich przybyszów. Dano im tu wszystko na co chatę stać było: ciepłe serce, dobre słowo i troskliwą opiekę, a wracających do miasta opatrzono lepiej może, niż własne. Bo taką była owa chwila, że dusze ludzkie, stały się czułe na głos niedoli współbraci, łaknąc jakiegokolwiek udziału w wielkim wysiłku, który wszystkich podnieść miał wyżej ku słońcu, bliżej ku szczęściu i dobru.

Śród organizatorów Zimowisk powstała wkrótce myśl założenia Towarzystwa Opieki nad dziećmi, które, działając stale, mogłoby otaczać swą pieczą wszystkie istoty bezdomne, opuszczone, a nawet i takie, którym własna ich rodzina była złym przykładem lub katem. Trudno uwierzyć, jak często się to zdarza, jak okrutnymi bywają najbliżsi dla tych maleńkich istot, które ich przecie o życie nie prosiły.

Z początkiem 1907 r. widzimy już towarzystwo ukonstytuowane w oderwaniu od Komitetu Pomocy dla pozbawionych możności zarobkowania. Znalazło się ono odrazu wobec nadmiaru różnorodnych i daleko sięgających zadań, które wszystkie spajało i jakoby jednym nakrywało dachem — naczelne: wziąć dziecko a społeczeństwu oddać — człowieka. Niełatwa to sprawa, jeśli zważymy, jakim materyałem operować musi. Dzieci ulicy. — Czy zastanawiamy się czasem nad głębszem znaczeniem tego wyrazu? Wszakże widzimy ich tyle na każdym kroku. W dni ciepłe, w porze letniej zalegają gromadnie przejścia boczne, zabawiając się w gry różne. Czego one nie słyszą i na co nie patrzą, te małe istoty, przedwcześnie ćwiczone i dojrzewające w mądrości i praktykach życia, brudnym nurtem przepływającego obok nich. Gdybyż obok tylko. Ileż to z nich srogi los strąca w głąb tego odmętu i unosi na wieczne zatracenie. A te dzieci to przecież przyszłość narodu, to są te miliony, te masy, od których uczłowieczenia zależy cywilizacya i kultura każdego społeczeństwa. Instytucya, której dalibyśmy w ręce możność przygarnięcia pod swoją opiekę i wychowania wszystkich tych przyszłych obywateli kraju, zagrożonych śmiercią moralną lub fizyczną w warunkach obecnego istnienia — stałaby się od razu największe, najdonioślejsze dobro czyniącą. Wszakże ona nas tylko wyręcza; tych z nas mianowicie, którzy, bąki po świecie zbijając, nie wiedzą, co z własnem robić życiem, i do żadnego celu, do żadnej pracy nie umieją się pogarnąć. Ileż to kobiet dni trwoni w pustce i czczości, marnotrawiąc grosz na fatałaszki i głupotę; ilu mężczyzn wyrzuca go bezmyślnie i występnie; niechby dali z tego małą część tylko, każdy jedną cegiełkę pod budowę wielkiego gmachu, w którym ma stanąć kolebka nowej chwały całego narodu — szczęście i dobro maluczkich w miłości i współczuciu poczęte.

A jak bardzo potrzebują ich te biedactwa, dowodzą kroniki i codzienne doświadczenia Domu Opieki Towarzystwa, inaczej zwanego Pogotowiem ratunkowem dla dzieci (Koszykowa 32). Tu o każdej porze dnia i nocy może zapukać i znaleźć schronienie bezdomne, tułające się, na pastwę głodu, nędzy i wszelakiej poniewierki wydane dzieciństwo—może zapukać, lecz jakże często nie może być przyjęte: idealnym założeniom życia twarda rzeczywistość w poprzek staje. Niestety, i miejsca i chleba nierzadko brak dla tych wszystkich, co mieliby do nich największe prawo. Bywa więc tak prawie zawsze, że nie licząc się z możnością, wygląda się jakiegoś cudu. Dom jest już prze-

pełniony, środki prawie wyczerpane, a tymczasem przyprowadzają np. chłopca, którego ojciec umarł, matka za jakieś przestępstwo dostała się do więzienia, on sam od kilku dni tuła się po ulicach; lub przychodzi inny chłopczyna i prosi, żeby go ukryć przed matką, która zmusza go do żebraniny i kradzieży — oczywiście, obaj zostają przyjęci.

Jednym z ciekawszych fragmentów kroniki schroniska jest historya małego żydka, którego w wagonie kolei kaliskiej spotkały jakieś dwie panie, powracające do Warszawy i oddały do Domu Opieki. Chłopiec miał 8 lat. Był tak brudny i obdarty, że poprostu zbliżyć się doń nie można było. Na kolei znano go, gdyż od pewnego czasu kręcił się w pociągach, śpiąc pod ławką w wagonie lub śpiewaniem sprosnych piosenek zarabiając hojne datki od podróżnych, szczególniej od młodzieży. Ostrzyżony, wykąpany, czysto odziany stał się mieszkańcem D. O. Dowiedziano się następnie, że matka jego była prostytutką zawodową i stałym gościem szpitala św. Łazarza. Spotkała ona chłopca, poznała i chciała zabrać, urządzając z tego powodu awanturę Towarzystwu. Wreszcie upomniała się o niego gmina żydowska. Oddany, po pewnym czasie uciekł i powrócił do Domu Opieki, błagając, żeby go nie odsyłano do „zydów". Życzeniu temu nie można było zadość uczynić; ale ile razy był odesłany, tyleż uciekł i z tem samem błaganiem powracał. Ostatecznie, znikł gdzieś bez śladu.

Towarzystwo posiada ochrony, szkoły, sale zajęć, warsztaty; dziecko, pozostające pod jego opieką, w miarę rozwoju i zależnie od wieku kształci sią w jednych lub drugich, aby w końcu stanąć w życiu samodzielnie. W innych krajach, śród innych społeczeństw podobne instytucye rozporządzają milionami, każdy obywatel poczuwa się do odpowiedzialności za ich istnienienie; u nas zaś — z roku na rok zmniejsza się ilość członków popierających: z 13,259 w r. 1908 liczba ich spadła do 2041 w r. 1911. A składka jest nizka, zaczyna się od 60 kop. rocznie.

Tymczasem ilość instytucyj wychowawczych Towarzystwa wzrasta stale: w 1911 roku dosięgła cyfry 54. Warszawa z przedmieściami posiada ich 18, gubernie: Warszawska i Piotrkowska po 14, Kaliska, Kielecka i Siedlecka po 2; Radomska i Lubelska po 1; inne w życiu Towarzystwa nie biorą udziału.

Tu trzeba istotnie cudu, ażeby udźwignąć taki ciężar przy tak słabej pomocy ogółu. I dokonywają go mózgi i ręce ofiarne jednostek pracą niestrudzoną, pełną poświęcenia i anielstwa.

*Lin.*

---

# Malarstwo.

Po zamknięciu „Salonu" z 1912 r. dano nam w Zachęcie kilka wystaw jednocześnie. Wielki salon zajęły prace p. Stano-Paradowskiej, w których uderza przedewszystkiem bogactwo, i różnorodność tematów. Myślom przemawiającym z tych płócien wielkich i małych nie dano jednak dostatecznego opracowania; zdają się zanotowane jak gdyby w pospiechu, wyrzucone z nadmiaru duszy przepełnionej; a choć zmuszają do zastanowienia się przed niemi, wzbudzają raczej zdziwienie, niż podziw.

W sąsiedniej sali, zaraz ode drzwi narzuca się uwadze wchodzącego piękny obraz Masłowskiego. Nic, tylko trzciny, kołyszące się od lekkich wiatru potrąceń nad spokojną, prawie martwą wodą i dwie dzikie kaczki, zrywające się do lotu leniwie i bez pośpiechu — ale stanąć trzeba i odejść się nie chce.

Akwarelle Trzebińskiego, rozwieszone na przeciwnej ścianie, nie potrzebują się wstydzić w sąsiedztwie prawdziwej sztuki japońskiej, jaką sprezentowała nam osobiście p. Wakana Utagawa, równie oryginalna jak jej obrazki przedstawicielka kraju Wschodzącego słońca. Ta mała osóbka w swym stroju narodowym z taką swobodą i wdziękiem czyniąca honory miejsca gościom, przybywającym nietyle patrzeć na jej obrazy, co ją samą oblegać natrętctwem swej ciekawości, mogłaby niejednej głowie nasunąć myśl, że cudzoziemcowi, chociażby najbardziej egzotycznemu, nie wypada może przypatrywać się z taką barbarzyńską bezceremonialnością, z jaką ogląda się w cyrku rzadkie zwierzątko, zamknięte w klatce.

Malarstwo japońskie uczył nas podziwiać przed laty Feliks Jasiński; czyśmy z tej nauki wynieśli głębsze jego zrozumienie — orzec trudno. Świat to inny — czujemy tę obcość na każdym kroku; choć istotnie zdumiewać się trzeba subtelnością wykonania i do-

skonałością obserwacyi jego artystów, tworzących śliczne cacka, z wielką sztuką niemające jednak nic wspólnego.

---

## „Wierna rzeka".

„Leżeli w kilkuset, tworząc w zmierzchu rannym białą górę — podobijani, gdy padli z ran, na rozkaz wodza nieprzyjaciół, rodaka i niedawnego spiskowca — obdarci przez wojsko ze szmat do ostatniego gałgana, roztrzęsieni na bagnetach, po dziesięć razy do ziemi przybici sztychem oficerskiej szpady, pchniętej nawskroś, z głowami rozwalonemi kulą z lufy, przystawionej do czoła, — porozgniatani przez pędzące koła armat Czengierego".

Takim obrazem rozpoczyna Żeromski swoją „klechdę", ostatni utwór, jakim obdarzył czytelników polskich. Dziwnej boleści utwór, pełen widm, zgrzytu, rozpaczy i konania. Ze stosu trupów na polu podnosi się jedyny żywy żołnierz i przez oniemiałą i zacichłą ziemię, smagany deszczem i śniegiem, ucieka, wlokąc z trudem porąbane ciało, gnany trwogą, ażeby go żywcem nie pogrzebali, ci, co przyszli poległych uprzątnąć. W tym strasznym pochodzie, kiedy „od ruchów cielesnych bóle w biodrze, plecach i głowie stawały się nie do zniesienia, jak ciosy ognistego pręta" często wali się w śnieg w zagaju, na mech do głębi przemokły. Lecz objęty nagłem zimnem, zrywa się i idzie dalej. Tak dobrnął do rzeki, która oddziela go od siedzib ludzkich. W jej nurtach lodowatych gasi na chwilę ogień ran swoich, opłukuje, obmywa krew zakrzepłą; a kiedy staje na drugiej stronie spotyka się z chłopami, którzy przyjąwszy go z szyderstwem, chcą odstawić do miasta, za idącym rzucają skibami zmarzniętej ziemi i rozmaitemi przezwiskami. Dowlókł się wreszcie na gumno dworskie i tu w opustoszałym domu, z którego wyszło wszystko, co żyło, prócz młodej panny i starego, głuchego kucharza — znajduje schronienie i opiekę.

Tak się zawiązuje nić dramatu, którego dalszy przebieg całkiem szczególne tworzy węzły. Po za mury tego wielkiego pustkowia — dworu, ogołoconego ze zwykłego życia i mieszkańców, nie wychodzimy prawie wcale, ale śród tych ścian niemych nocą, czy dniem, jak się zdarzy, przyglądamy się korowodowi scen dzikich, grotgerowskich. Zmieniają się aktorzy, treść wiecznie pozostaje ta sama: wypełnia ją po brzegi strach, szczękający zębami. Dzwonią szyby, grzechoczą drzwi, pękają zamki—wali się żołdactwo, a za niem czołga się i czai gwałt, zniszczenie, męka i śmierć — wszystko jedno, kto idzie: swój, czy obcy.

Jak ludzie mogli wytrzymać w takich warunkach i nie oszaleć, nie rozbić głowy o pierwszy lepszy kamień, myślimy; w dodatku, jak mogli się kochać! Bo na tem cmentarzysku wszelkiego, zdawałoby się, życia wyrasta cudny kwiat miłości. Wszystko ginie, ale on, niezwalczony, na rumowiskach tryumfuje, choć także przeznaczony na zniszczenie i śmierć pod gruzami. Woń i barwę ma jakieś inne — przyćmione padającym nań cieniem od gęsto dookoła snującej się śmierci, dyskretne i wstydliwie zamknięte w sobie. Tak bardzo, że nawet nie mamy tego wrażenia, czy ranny powstaniec, przedziergnięty w kochanka pięknej panny Mii, (Salomea nazywa się właściwie) po wyjeździe z domu, gdzie mu uratowano życie z narażeniem własnego, długo będzie pamiętał swoją opiekunkę, jej gorącą miłość, bezgraniczne oddanie się i poświęcenie. Zaiste, nie był to czas po temu. A zresztą, miłość kobiety to kwiat, który się prosi o zerwanie. Dlaczegóż nie uszczknąć go, nie pobawić się jego delikatnem dotknięciem i — nie rzucić, kiedy już się będzie miało dosyć. Podobno nie można nawet protestować przeciwko takiemu porządkowi rzeczy, gdyż to ma być porządek natury. Ona to chce — ta zła i niemiłosierna mistrzyni nasza—że zawsze ktoś daje więcej, niż drugiemu potrzeba, a nawet — że daje choć niepotrzeba.

Księciu nie była potrzebna miłość panny Mii. Taka prosta szlachcianeczka nie mogła przecież zostać jego żoną; nie ze względu na duszę swoją, ale na formy w jakich ta dusza przejawiać się miała zwyczaj. Tego nie należało mu zapomnieć. Ale samotność we dwoje, szczególne warunki tej samotności, ciągłe niepokoje i strachy, wreszcie Dominik, rzucający kadziami po nocach — wiele wytłómaczyć mogą. To też jasna pani, matka księcia, wszystko to wyrozumieć umie i przebaczyć. Nie odtrąca dziewczyny, tylko wyzyskuje jej serce i wywozi syna, zostawiając w zimnej, zmartwiałej dłoni opuszczonej — pełną kiesę. Taką samą daje kucharzowi, który na swych starych plecach dźwigał chorego, aby go ukryć

w stodole przed nadciągającem wojskiem. Tych dwoje otrzymuje jednakowe wynagrodzenie — w złotej monecie. I to leży także w porządku świata. Nie posiada on bowiem możności wypłacania się inaczej za oddane mu usługi.

Stary Szczepan napawa się codziennie widokiem otrzymanych dukatów, ilości ich zliczyć nie umiejąc, a panna Mija rzuca swoje do wody, która przyjmuje je i pochłania — jak pochłonęła krew powstańca i papiery komisarza rządu narodowego.

Wierna rzeka, cicha, zdradzie niedostępna wspólniczka bohaterstwa śmierci i męczeństwa życia.

Tak się kończy „klechda“ z przed pięćdziesięciu laty.

*P. S.*

---

## NOWE KSIĄŻKI.

Jan Gołębiowski: Początki nauki perspektywy, na poglądzie oparte wytłomaczenie najpowszedniejszych zjawisk perspektywicznych z zakresu perspektywy: linii, światłocienia, obrazów odbitych (zwierciadło), powietrza i barwy, w krajobrazie i w równoległych, jako wiadomości niezbędne do rysunz modelu. Podręcznik dla uczącej się młodzieży. 210 rysunków w tekście, w dodatku słowniczek polsko-ruski wyrazów technicznych. Str. 150, Stanisławów — Haskler, Warszawa — Wende i S-ka.

Henryk Opieński: Dzieje muzyki powszechnej w zarysie, str. 205, Warszawa, Gebethner i Wolff.

Edward Milewski: Kooperatyzm a kwestya robotnicza, str. 93, Lwów, 1912.

Wiktor Skibniewski: O łapownictwie, studyum społeczno-etyczne, str. 31, Warszawa 1913, Wende i S-ka.

Marya Orsetti: Nowa metoda organizacyi czytelnictwa, odbitka z książki „Praca oświatowa“, str. 25, Kraków — Warszawa.

Stanisław Baczyński: Wiszary, powieść, str. 196, Warszawa 1913. Centnerszwer i S-ka.

Marya-Johanna-Walewska (hr. Wielopolska) Faunessy, powieść dzisiejsza, str. 196, Kraków 1913, Księgarnia literacka.

Eliza Orzeszkowa: Australczyk, powieść, str. 217, z wydawnictwa „Ciekawe powieści“, Warszawa, Gebethner i Wolff.

Ludwika Jahołkowska-Koszutska: Z oddali, romans, str. 225, Warszawa, Gebethner i Wolff.

Gustaw Olechowski: Dzieje mężczyzny, powieść, str. 409, Warszawa, Gebethner i Wolff.

Dom polski, kalendarz popularny, ilustrowany na rok 1913 z mapą Rusi przeddnieprzańskiej i planem Odesy.

Jadwiga Lipińska: Pierścień, poezye, str. 80, Warszawa, Wende.

Maciej Kożuch: Kastor i Polluks, str. 35, Wilno 1912.

---

## GŁOSY.

W artykule Prawdy z dn. 25 stycznia r. b. czytamy następujące spostrzeżenie o trzech dzielnicach Polski, rozdzielonych kordonem granicznym.

Ten sam naród, ta sama bratnia mowa, ten sam rodzimy obyczaj, lecz jakimś obcym a różnym pokryte nalotem! Ciało, zda się, stanowi część naszego ciała, i kość jest ze wspólnego kośćca, lecz po za tym cielesnym ustrojem i w głębi zali nie krystalizują się jekieś dwie odrębne a nam obce dusze? Zali nie zaczynają już przyświecać dwa różne a coraz bardziej nam, i między sobą, obce ogniska świadomości?

To nie są części wspólnego organizmu, złączone wspólną krwią i mózgiem; to już dziś niemal są trzy samoistne organizmy! Tak! Samoiste i samostarczalne! Każda dzielnica posiada mózg inny, a także inny układ krwioobiegowy.

Galicya wre polityką — dla siebie.

Poznańskie bogaci się — dla siebie.

Królestwo do obu dzielnic tych wyciaga ręce napróżno i również zamyka się w sobie. Dorobkiem pracy swej dzielić się chce z innymi — napróżno. Więc z konieczności, kordonami otoczone, myśli, pracuje, walczy, ponosi ofiary i cierpi — dla siebie.

Tak — granice, które były niegdyś liniami matematycznemi, pogłębiając się z dziesiątka lat na dziesiątek, w głębokie i nieprzebyte zmieniły się przepaści.

Galicya czuje się tylko „Galicyą i Lodomeryą“, i niczem po nad to czuć się nie chce! Nietylko, że czujnego nie przykłada ucha do ziemi, aby jej i nasz rozległy płacz usłyszeć, ale nawet niebardzo z istnieniem naszem chce się liczyć. Galicya Królestwa poprostu nie zna. Zapoznawać się z nim nie chce. Z Warszawy, z Łodzi i Lublina zgarnia do kroniki swych gazet piankę sensacyi wielkomiejskiej, głośne zbrodnie, huczne nabożeństwa, uroczyste śluby — toż ma być wszystko? Plugawe procesy mnichów i zwyrodniałej arystokracyi ferment — toż mają być owe złote ponad granicami mosty, po których anioł jedności, anioł duszy narodowej się przechadza?

Wewnętrzne sprawy nasze, akcya wyzwolenie ludu, rozwój oświaty, dążenia proletaryatu, stan mieszczaństwa oraz inteligencyi, jakże to mało obchodzi Galicyę z całym zespołem jej wszechnic, jej akademii, jej urządzeń autonomicznych i instytucyj społecznych! Ona nie chce wejść nawet w nieszczęsną dolę naszego szkolnictwa, w bolesną ranę naszej oświaty, niechętnie przyjmując zastępy młodzieży, która tutaj wrota wyższych uczelni ma zamknięte, jako najazd obcy, wysoce niepożądany i niebezpieczny. Nawet socyaliści galicyjscy jakże mało naszym robotnikiem się interesują!

Galicya cała w natężonym słuchu podana jest ku Wiedniowi. Nie wzdłuż Wisły biegną jej spojrzenia, ale nad brzegi Dunaju.

Rysuje się i rozpada na sz꬀ści dusza polska; coraz wyraźniej łamie się i rozpada; coraz dalej od siebie samej odchodzi po liniach odśrodkowych w obce strony. Gdy tedy ostatnią budowy jednolitej tracimy osnowę, trwogą ściska się serce na myśl o traszliwym a jakże niedalekim progu tej przyszłości, w której pytać zaczniemy siebie nawzajem: „Gdzie jest Polska? Powiedzcie, gdzie jest Polska?“

---

W Tygodniku ilustr. jeden z przedstawicieli związku kooperatystów nazywa „inteligencyą żerującą“, gromady zręcznych, swego interesu pilnujących aferzystów, którzy tworzą niezliczone kasy pożyczkowo-oszczędnościowe, często mijające się z celem społecznej i ekonomicznej działalności, i wyraża obawę, aby ta „inteligencya żerująca“ nie chciała wtargnąć do kooperatywy. Ruch kooperatystyczny nie skupia się wyłącznie w związku kooperatystów. Istnieje w znacznej części po za nim i po za instytucyą centralną, pomimo, że dążąc do jednego celu powinniby się ludzie ściślej jednoczyć.

„Moglibyśmy — czytamy w Tyg. il. — razem z temi najrozmaitszemi nowopowstającemi instytucyami robić wspólne zakupy. Moglibyśmy robić wiele rzeczy, których robić nie możemy, mimo całego naszego powodzenia. Trzeba pamiętać i o tem, że prawie żadna firma polska nie pozostaje w bezpośrednich stosunkach ze źródłem towaru. Wskutek tego my tutaj niemal wszystkie towary przepłacamy“.

Ciekawem jest również, co ów działacz, którego rozmowę z Tygodnika przytaczamy, mówi o handlu żydowskim:

Proszę pana, my, jako hurtownia centralna, dążymy przedewszystkiem do opanowania handlu. I muszę powiedzieć, że walczymy z handlem żydowskim przedewszystkiem dla tego, że posiada on organizacyę czysto średniowieczną. Handel europejski nie osłania się żadną tajemnicą, posiada giełdy i jawne ceny. Handel żydowski zaś osłonięty jest zawsze tajemnicą, każdy kupujący kupuje za inną cenę. Czy można to nazwać objawem zdrowym ekonomicznie, objawem racyonalnym? Ale tam, gdzie tego rodzaju handel żydowski spotyka się z handlem nowoczesnym, tam musi on ponieść klęskę, musi być zwyciężony. W Anglii żydzi są „lumpenproletaryatem“, a przecież nie można brać pod uwagą kilkunastu bogatych jednostek. I powiem panu więcej: ja nie wierzę w zdolności żydów do handlu. Są ludzie, którzy nam mówią tak: „Jakto, chcecie stworzyć teraz handel polski? Ależ zapominacie, że tego trzeba się uczyć długo i cierpliwie, a wy nie uczyliście się tego nigdy“. Otóż sądzę, że istotnie brak handlu polskiego pochodzi stąd, że nie zajmowaliśmy się tem nigdy, mieliśmy zawsze do handlu niechęć, uważaliśmy go za zajęcie nieodpowiednie. Ale te przesądy upadły nareszcie, zaczynamy się uczyć i uczymy się jako tako.

---

# Ustawa normalna dla niższych szkół rolniczych.

Dnia 29 grudnia 1912 r. ministeryum rolnictwa zatwierdziło następujące przepisy dla niższych szkół rolniczych, zakładanych na mocy prawa, wydanego 26 maja 1904 r. Szkoły te mogą być stałe lub ruchome, przeznaczone zarówno dla dziewcząt jak chłopców. Nadzór nad niemi należy do Głównego Zarządu rolnictwa i dóbr państwa, a zakładać je mogą: ziemstwa, stowarzyszenia lub jednostki prywatne za upoważnieniem Głównego Zarządu rolnictwa i na mocy umowy, zawartej pomiędzy ministeryum a założycielem, który dostarcza środków na założenie. Zapomogę na potrzeby nauczania można uzyskać od skarbu z rozporządzenia Głównozarządzającego sprawami rolnictwa, w terminie oznaczonym umową z założycielami i w sumie od 2,240 do 3750 rb. rocznie na każdą szkołę, odpowiednio do jej normalnego uposażenia. A w wypadkach szczególnych szkoły takie mogą nawet otrzymać od ministeryum niezbędny dla racyonalnego prowadzenia nauki gospodarstwa rolnego obszar ziemi skarbowej, a także i lasu dla opału. Co się tyczy zasobów pieniężnych szkół tego typu, ich dochodów i ofiar, składanych dla nich, podlegają one w tym wzgędzie prawu z 26 maja 1904 r.

Każda z nich może posiadać opiekuna lub komitet nadzorczy, czuwający nad jej potrzebami i rozwojem a sposób wyboru, ich prawa i obowiązki określa ustawa z 26 maja 1904 r.

Do szkół przyjmowani są synowie miejscowych gospodarzy lub innych rolników w wieku od lat 18, umiejący czytać, pisać, i rachować w zakresie programu szkół elementarnych. Ilość uczniów w każdej ustala się przy założeniu, stosownie do warunków miejsco-

wych i wysokości rocznej zapomogi skarbu; co do tej ostatniej na każde sto rubli przypadać winno nie mniej niż jeden uczeń. Kurs szkolny ma być jedno lub dwuroczny i obejmować: naukę religii, czytania, pisania i rachunków w zastosowaniu do potrzeb gospodarstwa wiejskiego, treściwe objaśnienia zjawisk przyrody, czytania i pogadanki o kwestyach gospodarstwa rolnego, najprostsze wskazówki pomiarów ziemi, znajomość głównych praw, dotyczących gospodarstwa rolnego.

Zajęcia praktyczne polegają na wycieczkach naukowych, dyżurach i prowadzeniu pouczających zajęć w gospodarstwie szkolnem, tam gdzie ono jest urządzone, a także ne polach doświadczalnych i w innych instytucyach. Dla tych zajęć, jako też pogadanek z zakresu rolnictwa w każdej klasie wyznacza się nie mniej niż 6 godzin tygodniowo w porze zimowej a 12 g. w porze letniej. Resztę czasu poświęcają uczniowie robotom na swych gospodarstwach, pod kierunkiem swoich nauczycieli, którzy obowiązani są nawiedzać ich choć raz w miesiąc podczas zimy a dwa razy w miesiąc w czasie lata. Prócz tego każda szkoła, o ile to jest możliwe, uczy rzemiosł. Wszyscy uczniowie są przychodzący.

Nauką kierują nauczyciele, obowiązani do 12 wykładów co najmniej w tygodniu, wliczając w to praktyczne zajęcia z zakresu przyrodoznawstwa i rolnictwa, z których każde, nie mniej niż dwugodzinne, uważa się za jedną lekcyę w tygodniu. Prócz nauczycieli etatowych w zakładzie mogą pracować nadetatowi, z liczby tych, którzy mają prawo do takich stanowisk, t. j. posiadają średnie wykształcenie agronomiczne a w wyjątkowych razach choćby tylko udowodnione uzdolnienie praktyczne w zakresie danej specyalności. Nauczycieli zatwierdza w ich obowiązkach miejscowy Zarząd rolnictwa i dóbr państwa.

Zarządza szkołą jeden z nauczycieli etatowych za osobną dopłatą. I jemu i nauczycielom specyalnych przedmiotów, posiadającym średnie wykształcenie i wykładającym nie mniej niż 12 godzin w tygodniu, przysługują wszystkie prawa będących na służbie państwowej wydziału szkolnictwa w ministeryum oświaty: Zarządzający szkołą jako należący do VIII klasy a nauczyciele do IX. W przynależne temu stanowisku prawa wchodzą oni po przesłużeniu 4 lat i awansują następnie przez trzy stopnie powyżej pierwszego. Gdyby zaś nie odpowiadali wyżej wzmiankowanym warunkom, co się tyczy pensyi i jednorazowej zapomogi przysługują im te same prawa co osobom, znajdującym się na służbie wydziału szkolnego ministeryum oświaty.

Po ukończeniu roku i nie później niż 1 marca roku następnego zarządzający szkołą za pośrednictwem Opiekuna lub Komitetu nadzorczego przedstawia miejscowemu Zarządowi rolnictwa i dóbr państwa oraz założycielom szczegółowe sprawozdanie z działalności szkoły według naznaczonego programu.

---

## KRONIKA POWSZECHNA.

— W roku bieżącym upływa lat 50 od czasu zniesienia niewoli w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

— Budżet wydatków na szkoły początkowe w państwie rosyjskiem wynosi na rok bieżący 21,524,557 rb.; z tego na okręg moskiewski przypada 6,422,312 rb., na charkowski — 3,532,123 rb. nawet na orenburski — 1,893,232 rb. W okręgu moskiewskim 170 miast i powiatów zaprowadza nauczanie powszechne. Natomiast pozycya dla okręgu warszawskiego wykazuje sumę 1565 rb. przeznaczonych dla jedynej gminy Bąków w Księstwie Łowickiem. Wymowne!

Z pożyczek, udzielanych przez skarb na budowę szkół, w okresie czasu od 1909 do końca 1912 roku korzystano w całem państwie do wysokości 80,055,921 rb. W dziale tym dla Królestwa Polskiego figuruje jedna jedyna pozycya 6000 rb. dla osady Chmielów w gub. Radomskiej, co również wiele mówi o naszej zabiegliwości.

— Minister spraw wewnętrznych wnosi do Dumy projekt nowych praw wyjątkowych, mających ochraniać rosyjskie władanie ziemią na Rusi i w gub. Besarabskiej. Osobom pochodzenia cudzoziemskiego i polskiego ma być wzbronione nabywanie nieruchomości w tych ziemiach, jeżeli nie ulegli wpływom asymilacyi; a gubernatorom podolskiemu, wołyńskiemu i besarabskiemu przysługiwać ma prawo wydalania z granic guberni osób, naruszających te przepisy.

— W miastach prowincyonalnych wszczął się ruch w kierunku zakładania towarzystw pożyczkowo-oszczędnościowych czysto chrześciańskich lub czysto żydowskich. Ministeryum popiera to dążenie, wychodząc z zasady, że żydzi powinni obracać swymi pieniędzmi.

— W Nowym Targu zaczęła wychodzić Gazeta podhalańska, dla spraw—jak sama pisze — wszystkiego góralskiego narodu, przez górali pisana i redagowana. W słowie wstępnem wzywa Orkan górali, żeby się skupili, „Bo idzie odrodzenie całej góralszczyzny, a przez nią wzmożenie Polski".

— Kasa im. Mianowskiego ogłasza, że na r. 1913 przypadają dwie nagrody pieniężne z zapisu Jakóba Natansona. Jedna za najlepszą pracę z dziedziny nauk ścisłych, ogłoszoną drukiem w języku polskim w latach 1909, 1910, 1911 i 1912; druga za pracę w dziedzinie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych i t. p. Nagrody te udzielone być mogą tylko mieszkańcom Królestwa Polskiego i urodzonym w Królestwie.

— Nowe pokłady węgla brunatnego odkryto w okolicy Torunia. Eksploatacyą w pow. grudziądzkim zajęły się koła ziemiańskie, w innych powiatach towarzystwo akcyjne z nad Renu.

— Żydzi w Gnieznie niegdyś bardzo liczni, w ostatnich 8 latach tak się liczebnie zmniejszyli, że ilość dzieci ich w wieku szkolnym spadła z 60 na 8. Pomiędzy 1851 a 1857 rokiem posiadali oni tu własną szkołę 5-klasową

z 5-ciu nauczycielkami, w której obecnie jest tylko jeden nauczyciel.

— Bandytyzm w murach Warszawy wykazuje stały rozrost. Napadów w celu rabunku mieliśmy w roku ubiegłym 332; skutkiem czego 231 osób otrzymało rany a 25 — śmierć na miejscu. Liczba poranionych w rozprawach i bójkach nożowych wynosi 815.

— Korespondent Kur. lwow. opisuje jak w Rudowcach na Bukowinie niemieccy nauczyciele sposobami pruskimi germanizują dzieci polskie, podaje nazwiska tych dzieci, katowanych za polską wiarę i polski język. Za uszy wyciągają je z ławki, rzucają niemi o tablicę, następnie chwytają za włosy i uderzają głową o ścianę. Druga zaiste Września w konstytucyjnem państwie austryackiem, pod bokiem Koła polskiego.

— Gazeta rolnicza wydrukowała odezwę do przedstawicieli krajowych składów narzędzi rolniczych i kooperacyi rolnej, w której wobec gwałtu wywłaszczenia w Poznańskiem ziemianie lubelscy wypowiadają się przeciw popieraniu firm niemieckich i sprowadzaniu narzędzi rolniczych z Niemiec, oświadczając, że wyróżniać będą tylko te firmy, które bezwzględnie zaniechają tych stosunków.

— Z wydanego przez ministeryum skarbu sprawozdania obrotów kasowych w r. 1911 dowiadujemy się, że najbardziej dochodowemi w Państwie są gubernie południowo-zachodnie, południowe i ukraińskie. Dochody przewyższają tu wydatki o 140 mil. rubli. Co do dochodów, Królestwo polskie zajmuje drugie miejsce. Wyższe są tu one od wydatków o 100 mil. rubli, a najdochodniejsze są gubernie: piotrkowska, kaliska i warszawska. Co się tyczy wydatków, Królestwo stoi na 7 miejscu. Największe dochody z Królestwa przynoszą cła, akcyzy i podatki handlowe, przemysłowe i gruntowe.

— Dla uczczenia 50 rocznicy działalności społecznej Stanisława Rotwanda, prezesa wielu instytucyi ekonomicznych, złożono do jego rozporządzenia 16,000 rb. które on powiększył do 100,000 i przeznaczył na cele publiczne.

— W Poznaniu policya rozpędziła zebranie młodzieży, odbywające się z powodu styczniowej rocznicy 63 r. a na wychodzących i, choć tłumnie, lecz spokojnie przeciągających przez ulice, uderzyła z bronią, rozpraszając i gnając ich przed sobą.

---

## KULTURA POLSKA.

TOW. S. L. w GALICYI. W sprawozdaniu za rok 1911 spotykamy się z wyznaniem, że okres ten nie był przyjazny dla rozwoju działalności Towarzystwa. Wybory do parlamentu miały być główną przyczyną, że praca oświatowa bardzo ucierpiała, szczególniej w dziale odczytowym: w porównaniu z rokiem poprzednim odbyło się o 1369 mniej odczytów, wszystkiego tylko 5636. Wybudowano natomiast i oddano do użytku kilka nowych gmachów szkolnych na Zachodzie: w Przywozie na Morawach szkoła ludowa, w Czechowicach na Śląsku wydziałowa i w Hałcnowie w pow. bialskim 4-klasowa. W Orłowej powiększyły się budynki gimnazyum, którego rozwój i z roku na rok wzmagająca się frekwencya wymaga kosztów utrzymania, przechodzących możność T. S. L. Z krytycznego położenia, w jakiem obecnie się znajduje, powinna je wydobyć ofiarność społeczeństwa. W tymże Orłowie założyło Towarzystwo pierwszą na Śląsku szkołę gospodarstwa kobiecego. Na kresach wschodnich przybyło ogółem 75 szkół, do których uczęszcza z górą 13,000 dzieci. W pow. bialskim, na Śląsku i na Morawach Tow. S. L. posiada obecnie 2 gimnazya realne, 2 seminarya nauczycielskie, 5 szkół wydziałowych, 11 ludowych pospolitych, 5 ochronek i 1 seminaryum nauczycielskie żeńskie w Krakowie. W tych szkołach liczba klas wzrosła z 66 na 80, a dzieci uczących się z 3080 na 3542. Do istniejących poprzednio 18 burs przybyły w tym czasie dwie: jedna w Białej dla uczniów gimnazyum i seminaryum, druga we Lwowie dla dziewcząt. W Tarnopolu oddany został do użytku okazały Dom ludowy T. S. L. Liczba czytelń wzrosła w czasie sprawozdawczym z 1990 do 2442. Wycieczek odbyło się też więcej—75 z 4054 uczestnikami. Natomiast zmniejszyła się liczba kursów dla analfabetów wskutek zakazu władz wojskowych, które żołnierzom polskim w Wiedniu nie pozwoliły na nie uczęszczać.

UNIWERSYTET LUDOWY IM. A. MICKIEWICZA w sprawozdaniu za rok 1911/12 zaznacza rozrost swej organizacyi, rozszerzenie i pogłębienie pracy na wielu placówkach. Przybyło mu 10 nowych oddziałów. Wykłady dzielnicowe w Krakowie zgromadziły w 27 fabrykach i stowarzyszeniach robotniczych 15,603 słuchaczów. Zawiązało się „Towarzystwo budowy domu dla Uniwersytetu Ludowego", którego działalność wykładową w Krakowie mocno krępuje brak odpowiedniego pomieszczenia. Również doniosłą była praca oddziału we Lwowie i w Stanisławowie. W osadach i wioskach zapadłych własnemi siłami, bez pomocy inteligencyi chłopi i robotnicy tworzyli drobne oddziały. Tej rosnącej i zewsząd odzywającej się potrzebie oświaty Zarząd Uniwersytetu nie może odpowiedzieć w sposób należyty, gdyż nie posiada dostatecznych środków na wysyłanie prelegentów, dostarczanie książek, przezroczy, latarni.

NIEZWYKŁA WIEŚ. Mamy zdaje się jedną tylko taką w całem Królestwie Polskiem, a jest nią Lisków w Kaliskiem. Posiada on Kółko rolnicze, które w r. ubiegłym sprowadziło około 20 wagonów nawozów sztucznych, spółdzielczy sklep spożywczy, kasę pożyczkowo-oszczędnościową, spółkę mleczarską, posiadającą 800 krów i wyrabiającą dziennie około 400 f. masła; w najbliższym czasie ma powstać piekarnia i pralnia spółdzielcza. W pierwszej połowie roku zeszłego w łaźni spółdzielczej wydano 1,151 kąpieli. Wszystkie dzieci w Liskowie chodzą do ochrony i do szkoły. Obecnie liskowianie wzięli się do zakładania u siebie szkoły rolniczej. Przemysł ludowy, zorganizowany spółdzielczo, obejmuje tkactwo i zabawkarstwo. Wyrobów pierwszego sprzedano w roku zeszłym za 15,000 rb., drugiego za 1000. Ten wysoki poziom swego życia wieś zawdzięcza pracy i energii miejscowego proboszcza, ks. Blizińskiego.

50 LAT upłynęło w roku ubiegłym od powstania instytucyi, o której istnieniu pożytecznem i pracowitem stanowczo zamało wiemy. Mowa tu o zakładzie wychowawczym dla sierot pod Pruszkowem. Początek jego sięga tych czasów żałoby i klęski, kiedy sierot w Warszawie znalazło się nad zwykłą miarę. Zaczynano w małem pomieszczeniu, stopniowo przenosząc się do większego. Przytułek przeszedł pod opiekę Tow. dobroczynności i uzyskał jego zapomogę. Wreszcie po wielu kolejach trudnego życia znalazł się we własnym domu, na wsi, zbudowanym śród sześciu należących do niego morgów ziemi. Sierocin ma być własnością sierot, które tu są przyjmowane w wieku od lat czterech, a wychodzą, gdy już umieją na siebie zapracować. Wszystkie dziewczynki — chłopców niema tu wcale — uczą się szyć, haftów i wszelkich robót gospodarczych. Jest ich czterdzieści pięć—małych, większych i prawie już dorosłych. Wiele wychowanek rozjechało się po świecie lub powychodziło za mąż, lecz wszystkie utrzymują stosunki z domem, który zastępował im rodzinę.

DOM POLSKI W BIELSKU na Śląsku został zagrożony wskutek gromadnego wypowiedzenia sum, ulokowanych przez niemców na jego hipotece. Pospieszyła mu jednak z ratunkiem Bronisława z Sidorowiczów hr. Starzyńska, przesyłając 25,000 kor., które poleciła zahipotekować na Zarząd główny Tow. S. Lud. w Krakowie. Przyszłość Domu polskiego jest więc zabezpieczona, gdyż pozostałe 45,000 kor. długu da się spłacić ratami.

ZRZESZENIA NAUCZYCIELI. Do obu istniejących w naszem mieście stowarzyszeń nauczycielskich, należy niespełna 1000 osób na kilkanaście tysięcy pracujących w szkołach średnich początkowych, ochronach i innych zakładach wychowawczych. Obojętność polskiego ogółu nauczycielskiego dla spraw zawodowych tembardziej staje się rażącą, jeżeli zestawimy ją z silnym ruchem organizacyjnym w tej sferze w Niemczech, Austryi, Francyi, gdzie nieliczne tylko jednostki stoją po za jego ramami.

TOW. WZAJEMNEJ POMOCY MŁODZIEŻY IM. H. ŁOPACIŃSKIEGO. Istnieje już trzy lata i pracuje dla dobra młodzieży lubelskiej, przebywającej na studyach w Krakowie, udzielając pomocy potrzebującym jej tak w postaci stypendyów zwrotnych na przeciąg dłuższego czasu, jak pożyczek krótkoterminowych i t. d. W ubiegłym

roku szkolnym liczyło 58 członków. Z pomocy towarzystwa korzystało 67 osób, którym wypożyczono ogółem 2063 kor.

RUCH WSPÓŁDZIELCZY W KRÓL. POLSKIEM. Pomimo że datuje się zaledwie od lat siedmiu, rozwojem swoim wprost zdumiewa. W czerwcu roku ubiegłego zanotowano 240 kooperatyw spożywczych, należących do warszawskiego Związku Stowarzyszeń. W guberni piotrkowskiej istnieje ich 55, w warszawskiej 37, w lubelskiej 28, w radomskiej 20, w kieleckiej 19, w kaliskiej 17, w siedleckiej 15, w płockiej 12, w łomżyńskiej 12 i w suwalskiej 4. Na jedno stowarzyszenie przypada przeciętnie 129 członków; jedno też rocznie sprzedaje przecięciowo towarów za 24,808 rb.; przeciętny obrót roczny jednego członka wynosi 192 rb. Pod tym względem zajmujemy drugie miejsce po Anglii. Jednak ludność, popierając na ogół sklepy spożywcze, nie zapisuje się na członków.

## ZMARLI.

Ks. Antoni Brykczyński, który w parafii swojej Gołorowo, w Łomżyńskiem, liczącej około 15,000 mieszkańców wzniósł dom ludowy i założył ochronę, gorliwie oddając się pracy społecznej.

Jan Ciągliński, artysta malarz,

Kazimierz Laskowski (El) poeta i publicysta.

Władysław Bełza, poeta i poblicysta, pisarz dla dzieci.

August Witowski, znakomity fizyk, b. rektor uniwersytetu Jagiellońskiego

## DARY.

### Do rozporządzenia A. Świętochowskiego

Dr. Anna Tomaszewicz-Dobrska — 30 rb.
Jadwiga Tomicka — 1 rb. 70 k.
Stanisław Bilski — 3 rb.
Kolski — 25 rb.
Alfred i Tadeusz Krzyżanowski — 10 rb.
Za pośr. Red. „Prawdy“ — 145 rb.




WARUNKI PRENUMERATY: 3 rb., z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu 3 rb. 30 k.

Numer pojedyńczy 30 kop.

Administracya: Warszawa Krucza 9, telefonu 51-26.

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.